

JOANNA BALICKA

# POEMAT LETNIEJ TĘSKNOTY

ODLICZAŁ DNI DO CHWILI, KIEDY  
ZOBACZY JĄ PO RAZ KOLEJNY.





**JOANNA BALICKA**

**POEMAT**

**LETNIEJ**

**TĘSKNOTY**

Copyright © 2024  
Joanna Balicka  
Wydawnictwo NieZwykłe  
All rights reserved  
Wszelkie prawa zastrzeżone  
Oświęcim

**Redakcja:**

Alicja Chybińska

**Korekta:**

Anna Łakuta

Karolina Piekarska

Maria Klimek

**Redakcja techniczna:**

Mateusz Bartel

**Projekt okładki:**

Paulina Klimek

**Druk i oprawa:**

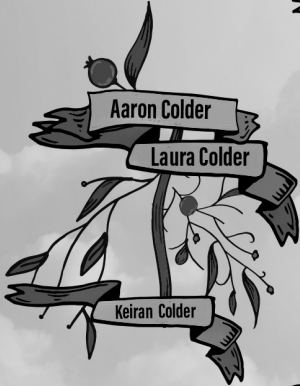
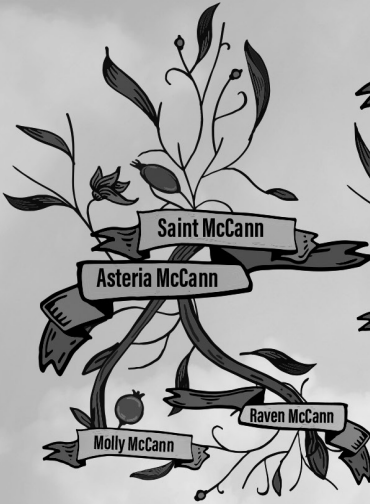
Abedik S.A.

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8362-251-4

*Dla tych, którzy w dzieciństwie uwielbiali zabawę w chowanego,  
a którzy w dorosłym życiu czasem wcale nie chcieliby zostać  
odnalezieni...*

*...i dla Amelki, mojej siostry  
Jesteś najjaśniejszym promyczkiem w moim życiu*





## I. PAMIĘĆ NIESTETY DOSKONAŁA

### TRISTAN

Nawet Bóg nie wie, ile bym dał, by móc nie pamiętać tego dnia.

Jest przecież tyle wspomnień, których nie potrafiłem odtworzyć. Dlaczego nie pamiętam uśmiechu mojej mamy? Dlaczego nie wiem, jak brzmiał głos mojego taty? Choć mogłaby paść jednoznaczna odpowiedź, bez żadnego drugiego dna, nie przyjąłbym jej do świadomości, ponieważ nie chciałem się z tym godzić.

Mawiają, że na początku był chaos. Mieli rację. Chaos nadaje początek chwilom, w których wolelibyśmy nigdy się nie znaleźć, a jednak już zaczynasz ich żałować. To nie jest fizjologiczne

uczucie, nie samo przecucie ani nawet nie wewnętrzny głos, który mówi: „Zastanów się, czy aby na pewno dobrze robisz. Spierdoliłeś”. Masz przesrane na całej linii i nagle zaczynasz obwiniać świat za to, że nikt nie stworzył jeszcze maszyny do cofania się w czasie.

Ale tamtego dnia zrobiłem coś bardzo złego.

Wtorek. Zegar wskazywał trzecią. Wiedziałem, że tej nocy już nie zasnę i nie wiem, czy następnej w ogóle będzie mi to dane. Nie czułem ciepła, zimna, głodu, zmęczenia. Właściwie, to niczego nie czułem, nie licząc łomoczącego serca pod żebrami.

Oczy szczypały mnie od łez, ale nie przez to, do czego się posuwałem. Moja babcia nie miała bladego pojęcia, że tej nocy nie wrócę do domu, ani kolejnej, ani żadnej innej. Została sama, a to gryzło mnie bardziej niż kajdanki wrzynające się w moje nadgarstki.

– Wiemy, że nie byłeś tam sam.

Poczułem uścisk w żołądku na brzmienie zimnego głosu gli-niarza.

– Powiedz, kto był z tobą.

Nie mogłem. Nie dlatego, że trzymałem się zasad lojalności, ale dlatego, by nikt nie dopadł jedynej osoby, która mnie nie porzuciła. Musiałem ją chronić, nawet jeśli skutki tej decyzji będą prześladować mnie do końca życia.

Cisza. Jeśli zachowam milczenie, wszyscy pozostaną bezpieczni.

– Tristan... – Kobiece westchnienie osłabiło napiętą atmosferę w pokoju przesłuchań. – Jesteś za młody, by tak szybko niszczyć przyszłość, jaką masz przed sobą.

Przyszłość? Jaką przyszłość? Dzieciak taki jak ja zawsze kończy na ulicy albo jako bezdomny, albo jako zadłużony ćpun.

Po kilku sekundach przeniosłem na nią spojrzenie. Policjantka nie wbijała mnie w fotel spojrzeniem oczu o jasnych tęczęwkach w przeciwieństwie do jej partnera. Prawdę mówiąc, to nie było pierwsze nasze spotkanie. To ona najczęściej brała udział



w interwencjach związanych z moją rodziną, w tym ze śmiercią mojej mamy.

Chciałem powiedzieć jej tak wiele, ale wewnętrzne poczucie obowiązku trzymało mnie na łańcuchu. Może potrafiłaby wyczytać to z moich oczu? Czy wtedy zrozumiałaby, że mam kogoś jeszcze do ochrony?

– Siedzimy tu od czterech godzin, a ty wciąż jeszcze niczego nie powiedziałaś. – Ciężkie palce owinęły się wokół mojego karku. – Słuchaj, gówniarzu. Jeśli myślisz, że będziemy tu ślęczeć do rana, to...

Cały się spałem. Twardo wbiłem spojrzenie w metalowy stół przed sobą.

– Rob, przestań – skarciła go. – Siłą niczego z niego nie wyciągniesz.

Kobieta była miła, bardziej ludzka od faceta z gęstą brodą, łysą łepetyną i spojrzeniem łakomej piranii. Przeczynałem, że nie chodziło mu o dojście do prawdy. Chciał jak najszybciej wrzucić mnie za kratki i wrócić do domu, żeby się wyspać.

Miałem być kolejnym numerem w statystyce.

Kolejnym osadzonym.

Kolejnym oskarżonym o kradzież z włamaniem.

Tylko kolejnym. Nie pierwszym, a już na pewno nie ostatnim. Jednak to nie więzienie mnie przerażało. Od kiedy sięgałem pamięcią, szlajałem się od instytucji do instytucji, wliczając w to domy dziecka, domy pomocy społecznej czy areszt dla nieletnich. Znałem to życie, czasem ten brak odpowiedzialności okazywał się wygodny, łatwy.

Jednak ja też czułem się tym zmęczony.

– Jeśli czegoś się boisz, to wiedz, że zapewnimy ci ochronę. – Policjantka przyglądała mi się z końca stołu. – Będziesz bezpieczny, nic ci nie zagrozi, tylko podaj nam nazwiska tych, którzy byli tam z tobą. Postaram się, by sąd uznał to za okoliczności łagodzące.

Ucisk narastał, podobnie jak mdłości. Miałem wrażenie, że wszystkie flaki pchały mi się na wolność. Zacisnąłem powieki. Przyparłem czoło do chłodnego blatu, a skrępowanymi żelastwem rękoma nakryłem głowę. Za dzieciaka to działało – to taka nasza własna peleryna niewidka, dzięki której mogłeś zniknąć na parę chwil. Dla społeczeństwa ludzie tacy jak ja od zawsze stawali się niewidzialni, chyba że powinna ci się noga – wtedy widzieli cię wszyscy.

– Tristan, pomyśl o swojej babci. Pomyśl o tym, jak niespokojna jest, bo nie wróciłeś do domu na noc.

Do domu? Ja nawet nie mam domu. Naparłem zębami na dolną wargę, walcząc z wrywającym się z gardła szlochem. Po prostu go przełknąłem, a metaliczny posmak rozlewał się po moim języku.

– Przyznaję się. – Skrzyżowałem wzrok z mężczyzną. – Przyznaję się do wszystkiego.

Wypuścił prawdopodobnie całe powietrze z płuc i odsunął się na bezpieczną odległość. Wyglądał na udobruchanego tą odpowiedzią.

– Czyli fajrant.

– Wiesz, że prędzej czy później dotrzemy do pozostałych, prawda?

Przeniosłem spojrzenie na kobietę. Może. Za to ja zyskam pewność, że zrobiłem wszystko, by nie narazić zdrowia ani tym bardziej życia mojej babci.

– Byłem sam.

– Nie, Tristan, nie byłeś.

Po raz pierwszy udało mi się wyprowadzić ją z równowagi.

– Staruszka cię rozpoznała. Przyznała, że znajdowałeś się na miejscu zdarzenia, ale to nie ty obezwładniłeś ją tępym narzędziem. To zmienia postać rzeczy – przekonywała, próbując odnaleźć odpowiedź na mojej twarzy. – Możesz zostać oskarżony wyłącznie o kradzież z włamaniem.

Serce załomotało mi jeszcze mocniej, choć nie sądziłem, że to możliwe.

Nie chciałem patrzeć na policjantkę. Widziała we mnie chłopca z przyszłością, ale odebrano mi ją, gdy byłem tylko dzieciakiem.

– Coś musiało się jej pomylić. – Wbiłem twarde spojrzenie w funkcjonariuszkę. – Byłem tam sam. Uderzyłem ją, dom miał być pusty, ale okazało się inaczej. Przestraszyłem się, bo słyszałem, że zaczęła wzywać policję.

– Czym ją uderzyłeś?

Przez moją głowę przetoczyło się milion stopklatek.

– Jakąs figurką z brązu czy czymś takim.

– Czymś takim? – Zwęził powieki.

– Nie znam się, dobra? – Powstrzymałem warknięcie. – Nie wiem, z czego to gówno było.

– Grzeczniej, gnojku. – Klepnął mnie w policzek. – Gdzie porzuciłeś narzędzie zbrodni?

– Nie pamiętam.

– Nie pamiętasz? – Uderzył dłońmi w stół kilka centymetrów od mojej ręki. – Nie pamiętać to ty możesz tego, co tydzień temu jadłeś na śniadanie, ale nie tego, gdzie porzuciłeś rzecz, którą rąbnąłeś staruszkę, planując jej morderstwo!

– Nie chciałem jej zabić! – zerwałem się z krzykiem. – Okraść tak, ale nie zabić!

Pchnął mnie z powrotem na krzesło. Widziałem po sposobie, w jaki poruszały się jego palce, że aż świerzbilo go, by mi przywalić.

Ktoś otworzył drzwi do pokoju, wywołując przeciąg, a powiew powietrza musnął mnie w kark.

– Miriam, prokurator już przyjechał.

– Jasne, już idę – odparła policjantka, po czym zwróciła się do partnera: – Zachowuj się.

– Dobra, dobra.

Zostaliśmy sam na sam. Moje spojrzenie instynktownie uciekło do kamery zawieszanej w prawym rogu pod sufitem.

– Może napiszesz się czegoś? – Gliniarz przybrał wyjątkowo spokojny ton.

Dopiero w tej chwili zdałem sobie sprawę z suchości w ustach.

– Wody.

– Wody – powtórzył. – Dobrze, dam ci wody.

Opuścił na moment pokój przesłuchań. Na te kilka chwil znajdowałem się pod opieką innego gościa w mundurze. Łysy wrócił ze styropianowym kubkiem z wodą, lecz zamiast postawić go przede mną, chlusnął mi nią w twarz.

– Może to odświeży ci pamięć – zarechotał złowrogo. – Zapytam cię po raz ostatni. Kto był tam z tobą?

Przekrzywiłem głowę, oblizałem wargi i miejsce wokół nich, by spać choć odrobinę kropel. Przemoczone ubranie dodatkowo wywołało u mnie dreszcze, zważywszy na to, że w pokoju pracowała klimatyzacja.

– Gadaj, kurwa! – Trzasnął mnie łapą w tył głowy. – Zamierzam dzisiaj pójść do domu, a nie siedzieć tu z tobą, gówniarzu.

– Nikt. – Do samego końca wytrzymałem twarde spojrzenie policjanta. – Byłem. Tam. Sam.

Złapał mnie za koszulkę i podciągnął do góry. Moja twarz znajdowała się naprzeciwko jego.

– Jeśli się dowiem, że kogoś kryjesz, wrócę po ciebie. – Sunął chłodnymi oczami po mojej twarzy. – Tak cię urządzę, gnojku, że własna stara cię nie pozna – powiedział, a w następnej chwili rozciągnął ukośnie usta. – A jeżeli nie ja, to koledzy z twojej celi. Wiesz, jak traktują tam tych, którzy atakują bezbronne staruszki?

Milcz. Cisza. Nie unikniesz więzienia, nawet jeśli wyjawisz prawdę.

Podtrzymywaliśmy kontakt wzrokowy. Gdy łysy zdał sobie sprawę, że nie puszcze pary z ust, puścił mnie i zlustrował.

– Sam tego chciałeś.



## II. BETONOWA RZECZYWISTOŚĆ

### TRISTAN

Akt oskarżenia jednoznacznie wskazywał na moją winę. To ja włamałem się do domu starszej kobiety z zamiarem obrabowania go z cennych rzeczy, które mógłbym opchnąć i zarobić trochę siana na życie.

W tym nie było kłamstwa. Potrafiłem rozwalać zamki, więc włamanie i wtargnięcie rzeczywiście należało do moich obowiązków – jakkolwiek by to nie brzmiało. Chciałem okraść tę kobietę, to też moja wina. To, czego nie chciałem, to sprawić jej ból. To nie ja zadałem cios, który ją ogłuszył. Dom miał być pusty,

ale to, co wydarzyło się później, sprowadziło mnie do miejsca, w którym się teraz znajdowałem.

Zasłużyłem na karę i zamierzałem ją odbyć.

Sąd wydał wyrok: cztery lata więzienia i grzywnę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Nie stać mnie na wynajęcie prawnika, a ten, który został mi przydzielony z urzędu, pomagał mi jedynie w zrozumieniu prawniczego bełkotu, zatem przewodu sądowego nie przerwało ani jedno zakwestionowanie.

Po mojej lewej zasiadała ława przysięgłych, ale to po prawej znajdowali się świadkowie. Sąsiedzi staruszki, jakiś biegacz i gli-niarz, który znalazł mnie przy kobiecie. Nasze spojrzenia skrzyżowały się w chwili, w której mała ława przysięgłych ogłaszała wyrok.

Czy on wiedział, że nie chciałem jej skrzywdzić? Odwrócił wzrok, jakbym wzbudzał w nim odrazę. Czyli jednak nie.

Cztery lata.

Cztery pieprzone lata. Dopiero w dwa tysiące dwudziestym czwartym wyjdę na wolność.

Ile dostałbym, gdybym wyznał prawdę? Nie wiedziałem, jednak w momencie, w którym sędzia zakończył odczytywanie wyroku, zacząłem zachodzić w głowę, czy może jednak warto powiedzieć ostatnie słowo.

Ale czy to by cokolwiek zmieniło? Nie teraz, nie dziś. Milcz. Cisza. Na negocjacje było już za późno. Szósta poprawka zapewniła mi szybki i publiczny proces.

*Dzięki ci, wspaniała Ameryko.*

– Proszę oskarżonego o powstanie. – Głos sędziego wytrącił mnie z chaosu myśli.

Podniosłem się z miejsca, czując, jak bardzo zdrętwiały mi nogi.

– Czy oskarżony chciałby wyrazić skruchę wobec pokrzywdzonej?

Przekręciłem głowę i spojrzeniem odnalazłem pokiereszowaną starszą panią. Na sam jej widok czułem, jak gula w gardle

niemalże mnie dławi, ponieważ dotarło do mnie, że to mogła być moja babcia.

Siwa trwała, styrana historią życia twarz, niedowidzący wzrok, wspomagany przez grube okulary, i zaszyta rana po uderzeniu. Gdyby chłopak uderzył ją mocniej, mogłaby umrzeć. Z trudem przełknąłem ślinę.

– Przepraszam panią – udało mi się wykrztusić. – Zamierzam odbyć tę karę i odpokutować to, co zrobiłem.

Oczy wszystkich zebranych na sali sądowej skupiły się na staruszce. Adwokat nachyliła się nad jej uchem, przez chwilę nad czymś dyskutowały. Wtem jej cichy, zmęczony życiem głos przerwał falę szmerów:

– Cieszę się, że żałujesz, dziecko.

Zamknięto przewód sądowy. Klamka zapadła.

Do tej pory nie dotarła do mnie żadna informacja o tym, czy znaleźli pozostałą trójkę. Jednego z nich, Patricka, znałem jeszcze z czasów domu pomocy społecznej. To on wkręcił mnie w temat szybkiego zarobku, gdy świadczenia, z których utrzymywaliśmy się z babcią, okazały się niewystarczające na nasze warunki.

Miałem dość życia w przyczepie. Chciałem mieć dom, albo chociaż własny pokój, a teraz nie miałem już szansy na żadną z tych rzeczy. Wiedziałem, że przekraczając więzienne mury, przestanę być nawet człowiekiem. Będę wyłącznie statystyką.

– Nie!

Co?

Odwrociłem głowę w stronę drewnianych rzędów, które wypełniał tłum nieznamych. Z nich wyłoniła się twarz, której rysy wyryły mi się w pamięci.

Babcia. Moja ukochana babcia.

– Tristan, dziecko!

Niewidzialny drut kolczasty owinął się ciasno wokół mego gardła. Ledwie mogłem oddychać, nie wspominając nawet

o przełknięciu śliny. Świadomość tego, jak bardzo ją zawiodłem, kopnęła mnie butem wysmarowanym gównem prosto w pysk.

Policjanci zebrali się wokół mnie. Zanim jednak zostałem wyprowadzony, babcia przecisnęła się przez bariery, zwracając uwagę wszystkich swoim boleśnie gorzkim szlochem.

Ujęła moją twarz w dłonie, szukając na niej odpowiedzi, których sam nie znałem.

– Dlaczego? – zapytała zduszonym od łez głosem. – Dlaczego, Tristan?!

Czułem wstyd. Walczyłem z tym, by odwrócić wzrok, ale dotyk znajomych dłoni mi na to nie pozwolił. Z drugiej strony świadomość, że nie zobaczę jej przez najbliższe miesiące, kazała patrzeć mi tak długo, dopóki nie nacieszę oczu jej widokiem.

– Przepraszam. – Po tym wszystkim tylko na tyle potrafiłem się zdobyć. – Przepraszam.

Chciałem, by żyło nam się lepiej. Zapragnąłem wyrwać nas z tej pieprzonej przyczepy, kupić nam dom, w którym każde z nas będzie miało własny kąt. Efekt okazał się zupełnie odwrotny.

– Bądź silny, słyszysz? – Ucałowała mnie w czoło. – Tris, musisz być silny.

Policjanci szarpnęli mną do tyłu. Chciałem zaoponować, wywalczyć jeszcze kilka chwil, ale zmęczony brakiem snu i wygłodniały przez ostatnie dni spędzone w areszcie, byłem niczym zapalka, którą wystarczyło pstryknąć, bym zламаł się w pół.

Będę silny. Wytrzymam. Zrobię wszystko, by wytrwać do końca. I przede wszystkim nie puszcę pary z ust.

\*\*\*

Zakład karny mieścił się na kompletnym pustkowiu, z dala od miejskich zabudowań. Dookoła rósł gęsty las, nie miałem pojęcia, gdzie znajdował się jego koniec. Jednak to, co mroziło mi krew w żyłach, to betonowe zgliszcza mojej marnej przyszłości.



Krzyki mężczyzn huczały mi w głowie nawet wtedy, gdy panowała cisza. Dobiegały zewsząd, jakby tylko czekali, aż ktoś zasilili szeregi więziennych murów.

Bramę wejściową okupowało dwóch strażników. Owczarek niemiecki wiernie towarzyszył jednemu z nich, omal nie zrywając się z uwięzi na mój widok.

– To co, synek? – Kpina w męskim głosie uwłaczała mojemu ego. – Gotowy na wakacje bez mamusi i tatusia?

Skrzyżowałem z nim spojrzenie, jednak z moich ust nie wydostała się chociażby sylaba. Gość miał jebaną aureolę wyrytą łysiną na łbie i kawał wąsicha pod nosem. Widać, że z tego typu był kawał chuja.

Zachowanie zimnej krwi stawało się bardziej potrzebne niż kiedykolwiek.

Milcz. Milczenie cię uratuje.

– Kolejny wytatuowany – zadrwił ten drugi, wypuszczając dym z papierosa pomiędzy warg. – Trochę z nami posiedzisz, piękny, co?

Ten drugi, może trochę młodszy, bez wąsa, zaś z przeredzonymi kruczoczarnymi włosami wyrwał funkcjonariuszowi dokumenty, które dotyczyły mojego skazania. Zacmokał, kręcąc na mnie głową.

– Cztery lata – gwizdnał. – I tak wrócisz. Tacy jak ty zawsze wracają.

Zamiast brać udział w bitwie na spojrzenia, wędrowałem oczami po więziennym kompleksie. Całość otaczały ogromne płoty, zwieńczone zatrzważającą ilością spiralnych drutów kolczastych. Kiedy usłyszałem, że zostanę przetransportowany do prywatnej jednostki penitencjarnej, w głowie miałem wyobrażenie o jakimś wyższym standardzie niż budynek, który przypominał fabrykę rodem z lat sześćdziesiątych.

Strażnik celowo pozwalał psu zbliżyć się do mnie, podjudzając go komendami „Bierz go!”. Owczarek warczał złowieszczo,

ujadając przy nogawce moich spodni. Drgnąłem, gdy tylko poczułem ocierające się o skórę kły.

– Co? – zarechotał facet. – Nie lubisz psów, małolat? – Wyszczrzył się szyderczo. – Tutaj będziesz miał czas je polubić.

– Naprzód!

Ten drugi pchnął mnie w plecy. Nawet nie wiedziałem, kiedy znalazł się za mną.

– Oprowadzimy cię, małolat.

Brzęczący sygnał poprzedził otwarcie żelaznych bram. Marszerowałem pomiędzy strażnikami, a mój wzrok przeskakiwał z miejsca do miejsca. Pokryta brudnym piachem droga prowadziła do parterowego budynku. Strażnik otworzył przede mną drzwi, zanim ten drugi znów pchnął mnie w plecy.

– Co ty, kurwa? Na spacerek idziesz czy jak? – wypluł pogardliwie. – Zapierdalaj tymi nogami albo ci pomogę, synek!

Zacisnąłem brutalnie szczęki, a zęby zazgrzytały mi o siebie. Najwyraźniej prowokował mnie do reakcji, która tylko pogorszy moje położenie. A ja i tak już znajdowałem się w potężnej dupie. Ten bez psa uwolnił mi dłonie z kajdanek.

– Opróżnij kieszenie, zdejmij buty i pasek, jeśli posiadasz.

Zerknąłem na strażniczkę za biurkiem. Była ciemnoskóra, grube włosy miała spięte w kitkę, a spojrzenie, które mi posłała, było pozbawione wyrazu.

W areszcie tymczasowym nie miałem ze sobą zbyt wielu rzeczy, nie licząc paczki gum i zużytej chusteczki. Wrzuciłem to wszystko, łącznie z butami i skórzanym pasem, do kuwetki, którą strażnik pchnął do skanera.

– Podejdź do mnie.

Przeszedłem przez wykrywacz metalu, cały spięty i zafiksowany sytuacją. Chociaż wiedziałem, że nie miałem przy sobie już absolutnie niczego, skronie oblał mi pot. Żadnego dźwięku, a lampka nad metalowym przejściem zapaliła się na zielono.

Pełen ulgi oddech ukradkiem wydobył mi się spomiędzy warg.

– Odwróć się, ręce na ścianę, nogi szeroko – instruowała mnie.

Zrobiłem to, co kazała. Kobieta sunęła detektorem od stóp do głów, po ramionach, obu nogach i dla pewności jeszcze raz.

– Przodem do mnie.

Obróciłem się, nawiązując niefortunnie spojrzenie z jednym ze strażników. Chociaż jego oczy pozostały chłodne, na cwaniaczką mordę wypłynął mu zwyczajski uśmiezek, jakby zaraz miał zgarnąć gwiazdkowy prezent.

– Tristan Harmon, lat osiemnaście. Urodzony czwartego listopada dwa tysiące drugiego roku, zgadza się? – Nowo przybyły strażnik recytował z kartki.

Temu było blisko do trzydziestki, miał zarost, a ciemne włosy schował pod czapkę typowego klawisza.

– Tak.

– Za mną. – Przywołał mnie ruchem głowy.

– Dokąd go zabierasz? – wtrącił ten chujek z wąsem.

– Na osobistą.

– O, chętnie sobie popatrzę na naszego pięknisia – zagruchał, patrząc na mnie złośliwie zmrużonymi oczami.

Zerknąłem na tego drugiego z nadzieją, że zaprzeczy, ale ten jedynie wzruszył ramionami. Cały się spałem, czując, jak łusy praktycznie deptał mi po piętach, a jego przesycony wczorajszym piwskim oddech muskał mi kark.

Strażnik otworzył drzwi do odosobnionego pomieszczenia, w którym stał stolik, biurko i mata, na której kazał mi stanąć.

– Zdejmij ubrania.

Zdjąłem bluzę przez głowę, a po niej koszulkę. Rozpiąłem jeansy, zsunąłem skarpetki, po czym dorzuciłem je do kupki ubrań na stoliku. Gość przetrzepywał każdą rzecz, która tam leżała.

– Bokserki też.

Uniosłem brwi, jakby niepewny tego, czy dobrze go usłyszałem.

– No już, zdejmuj – ponaglał mnie. – Nie mamy całego dnia.

Przeniosłem wzrok na łysego. Znów ten złowrogi uśmiech, którym gotował mi krew w żyłach.

Zsunąłem bokserki, skopałem je do reszty ubrań i zasłoniłem się dłońmi.

– Otwórz usta – dyrygował. – Język w górę. Teraz w dół.

Nawet nie wpadłoby mi do głowy, by cokolwiek przemyśleć do więzienia.

– Unieś penis.

Tym razem zmarszczyłem brwi, jednak pod nieugiętym spojrzeniem strażnika zrobiłem to, co kazał.

– Obróć się, kucnij – rzucał kolejne komendy. – Kaszlnij.

Chyba nie sądził, że... Cholera, ludzkie ciało potrafiło jednak zaskakiwać.

– Wstań. Prawa stopa w górę – komenderował. – Lewa.

Zapisał coś w papierach. Ten drugi znów strzelił we mnie pogardliwym uśmiezkiem. Gdy tamten nie patrzył, uniosłem środkowy palec w towarzystwie równie kpiącego uśmiechu. Gotów był wyrwać się w moją stronę.

– Ty, kurwa, bo ci...

– Spokój – huknął młodszy klawisz, po czym przeniósł wzrok na mnie. – Możesz się ubrać.

Zaczyynałem myśleć, że tu wcale nie chodziło o przemyt, a o uświadomienie więźniowi, że tu nie ma żadnej władzy. To uwłaczające, odbierające godność, a jednocześnie siadające na psychę, bo pokazałem im coś, czego nikt wcześniej nie widział.

Nie wiem, ile godzin minęło, zanim dopięto wszystkie procedury. Zegar na ścianie zatrzymał się na piętnastej dwadzieścia cztery. Nie pozostało mi nic innego, jak wpatrywanie się w opaskę identyfikacyjną.

– Harmon – przywołał mnie kolejny strażnik. – Idziemy.

Ten był starszy, może około pięćdziesiątki. Był rostry, szeroki w barach, miał przystrzyżony zarost i krótkie, ciemne włosy.

Prowadził mnie u swojego boku, dopóki nie dotarliśmy do przejścia z kratownicą. Kiwnął głową do gościa zamkniętego w akwarium. Brzęczący dźwięk zapowiedział rozstąpienie się bram, a po przejściu ta niemal automatycznie zasunęła się za naszymi plecami z grzmiącym brzękiem metalu.

Wydano mi pościel, komplet ubrań, bokserki, skarpety, plastikowe klapki, szczoteczkę do zębów, pastę i kostkę mydła.

– To ma ci wystarczyć na miesiąc – mruknął facet zza małego okienka. – Korzystaj rozsądnie.

Potaknąłem. W końcu nie pozostało mi nic innego.

Przed nami ze szczękiem rozsunęła się kolejna brama, prowadząca na coś, co przypominało środkowy dziedziniec z rozgałęzionymi przejściami do pozostałych budynków. Zdałem sobie sprawę, że właśnie prowadził mnie do tego, w którym przydzielono mi celę.

Znów to nawoływanie mężczyzn, okrzyki, gwizdy, odgłosy ujadania. Niektórzy przylegali do siatki, by lepiej mi się przyjrzeć. Krzyczeli, wrzeszczeli, co rusz nawalając w metalowe zabezpieczenia. Z każdym kolejnym krokiem żołądek piął mi się w górę gardła. Nie bałem się. Byłem kurewsko przerażony.

W budynku było ciszej niż na zewnątrz, nie licząc rozmów. Odgłos naszych butów niósł się echem wśród ścian, choć moje, bez sznurówek, prawie spadały mi ze stóp. Dłonie miałem mokre od potu, a w ustach zabrakło mi śliny.

Zatrzymaliśmy się przy jednej z cel, to małe pomieszczenie, z którego bił słodkawy zapach. W środku znajdowało się już trzech mężczyzn. Dwóch było znacznie starszych ode mnie, jeden zaś tylko odrobinę na pierwszy rzut oka.

Szczęk zamka poprzedził otwarcie przejścia, które zmusiło pozostałych więźniów do spojrzenia na mnie. Żaden z nich nie

leżał, ci starsi palili papierosy, a młodszy siedział, skrobiąc coś ołówkiem na kartce pomiętego papieru.

– Osadzony, wchodź. – Klawisz rzucił prostą komendę.

Napiąłem ramiona, gdy tylko przekroczyłem próg celi. Mój wzrok przemierzał po twarzach zebranych, dopóki nie zatrzymał się na wolnym miejscu do spania.

Kraty zatrzasnęły się za moimi plecami, wywołując dreszcze, choć ani drgnąłem.

– Cześć – wypaliłem pierwszy.

Jeden ze starszych miał na sobie typową żonobijkę, dresowe szorty, szare skarpety z dziurą na dużym palcu prawej stopy i czarne, schodzone laczki. Przerzedzone, siwe włosy ledwie trzymały się ostatnimi kępkami skóry głowy, eksponując wytartą łysinę ze sporą ilością blizn. Był pomarszczony jak buldog, miał żółknięte od papierosów palce i długie, brudne paznokcie.

Zbliżył się do mnie w milczeniu, wtykając między wargi dopalającego się peta. Bez słowa zagarnął papier, który trzymałem na szczycie rzeczy, i wyteżył wzrok.

– Kradzież z włamaniem – odczytał niskim, chropowatym głosem.

Drugi facet miał białą koszulkę i pomarańczowe spodnie od więziennego kompletu. Był całkowicie łysy i pozbawiony zarostu, w lepszej kondycji higienicznej niż jego poprzednik. Przekazali sobie kartkę.

– Tu jest wolne, małaolat. – Wskazał ręką na dolne łóżko. – Pościel wyro i trzymaj to miejsce w porządku.

Odłożyłem rzeczy we wskazanym miejscu. Starzec oddał mi biało<sup>1</sup>, po czym klepnął mnie w policzek.

– A co ty taki chojrak, świeżak? – Wyszczrzył się, ukazując braki w uzębieniu. – Dobrze trafiłeś, nie bój dupy. Tu jak w domu ma być, rozumiesz? – Poklepał mnie po karku. – Jeśli będziesz kozaczyć, to cię utemperują, aż nauczysz się, że połamiesz sobie nóżki od skakania.

<sup>1</sup> Biało – w gwarze więziennej oznacza dokument potwierdzający paragraf, za który się trafiło za kratki (przyj. aut.).

Milczałem. To lepsze wyjście niż wdanie się z nim w rozmowę.

– Jestem Edgar, to jest Henry... – wystawił palec w stronę palacza pod oknem – ...a ten tutaj to Nate, ale do niego to nie zagaduj, jak nie musisz, bo ci naklepie na ryj i zarobisz, a po co? – Rozłożył ramiona, jakby podkreślał te słowa. – My tu w zgodzie żyjemy.

Szybko zrozumiałem, że to Edgar przewodził w tej celi. Zerknąłem na Nate'a, który już mi się przyglądał.

– Nie wylegujesz się, kiedy zapierdalasz, to zapierdalasz, jak coś masz, to się dzielisz, problemów nie robisz i jesteś czysty, łapiesz? – Uniósł krzaczaste brwi. – Jak mi tu, kurwa, do celi jakieś prochy wtrysnisz, to osobiście upierdolę ci nos przy samym ryjcu.

– Nie biorę – odezwałem się.

– No. – Zwiesił ramiona, wyglądając na rozluźnionego. – To co ci odwaliło z tym włamaniem, małaolat?

Przetoczyłem spojrzeniem po twarzach pozostałej dwójki.

– Potrzebowałem pieniędzy dla rodziny – przyznałem. – Mieszkam ze schorowaną babcią, długi rosną, a fundusze na leczenie maleją.

Wyprostował się. Poklepał mnie w tors, po czym szturchnął pięścią w ramię.

– To ty nasza morda jesteś.

Mój puls znacząco zwolnił, choć pomimo poczucia chwilowej ulgi wiedziałem, że nie mogłem stracić czujności.

Posłałem łóżko, a pozostałe rzeczy położyłem w skrzynce pod łóżkiem.

Światło nigdy nie gasło. Brzdęki nie ustępowały. Ktoś jęczał, jakby z agonialnego bólu, inny facet zaś kazał zamknąć mu ryj, inaczej osobiście się do niego przejdzie. W nocy tylko raz udało mi się opuścić powieki.

Ze snu wyrwał mnie zgrzyt metalu i donośny głos strażnika:

– Osadzeni przed celę.

Nie wiedziałem, o co chodzi, ale robiłem to, co pozostali. Edgar wyszedł pierwszy, po nim Henry. Nate wciąż leżał, gdy podążyłem za mężczyznami. Oparli dłonie na ścianie, rozstawili szeroko nogi, zatem zrobiłem to samo.

– Osadzony, wstajesz! – warknął klawisz.

– Spierdalaj – odpalił chłopak. – Przez darcie mordy jebanego Flinstona nie spałem ani godziny.

– Wstawaj, jak mówię!

– To ja ci mówię: spierdalaj!

Kątem oka widziałem, że strażnik poderwał Nate'a z łóżka i gdy zamierzał rzucić go na beton, ten strzelił mu z pięści w mordę.

– Gdzie z łapami, psie! – odciął się z rykiem.

Klawisz wezwał wsparcie. Nate przyjął postawę obronną, ale zdało się to na nic, gdy do środka celi wtargnęli strażnicy z tarczami, taranując chłopaka i przyciskając go do ściany. Słyszałem jego jęki i wyzwiska, które mieszały się z komendami klawiszy.

– Małolat – warknął Edgar. – Nos w swoje sprawy, przed siebie patrz.

Wlepiłem wzrok w ścianę, choć dziwnie było nie móc zrobić absolutnie niczego, gdy jeden z twoich zostaje pobity. Wytarmosili chłopaka, skuli mu ręce za plecami i niemal wtulili jego głowę w kolana, gdy wyprowadzali go z tej części budynku.

– Co z nim teraz będzie? – zapytałem cicho.

– Izolatka – mruknął niepokieszony. – Ten dzieciak niczego się nie nauczy.

\*\*\*

Henry powiedział, że to więzień decyduje, czy chce jeść, czy nie, a jeśli nie smakuje mu więzienne żarcie, to musi liczyć na pomoc z zewnątrz, chyba że wymieni się czymś z którymś z osadzonych.



– Tu nie ma nic za darmo, świeżak – powiedział mi. – Jeśli ktoś ci coś daje i mówi, że nic za to nie chce, to nie wierz w jego dobre serducho.

Nie wiem, które okrażenie pokonywaliśmy na spacerniaku. Edgar uważał, że to jedyny moment, kiedy można rozprostować nogi, jeśli się nie pracuje. Ed nie pracuje, bo ma dożywocie za morderstwo, a Henry ma tymczasowy zakaz, odkąd ukradł z zakładu śrubokręt, który strażnik uznał za kontrabandę.

– Jeśli twierdzi, że za darmo, to spodziewaj się, że wróci – pouczał mnie. – Gdy nie masz czym płacić, to płacisz ciałem.

Przełknąłem ślinę. To brzmiało cholernie źle.

– Dużo było takich akcji? – Nawet nie wiem, dlaczego o to zapytałem.

Posłał mi krzywe spojrzenie.

– Chłopaku, czego te mury nie widziały...

Wyjawił mi przy kolejnym okrażeniu, że są bloki dla osadzonych ze skłonnościami samobójczymi lub takimi, co widzą rzeczy, których nie ma. Są trzymeni w odosobnieniu, pod czujnym okiem strażników, a ci rzekomo co piętnaście minut sprawdzają ich stan.

Są też bloki dla szczególnie niebezpiecznych, ale tam nie mają otwartego spacerniaka, a betonowe akwarium z metalową siatką nad głowami, przez którą mogą sobie popatrzeć na niebo.

Ci, którzy zachowują się najlepiej, mają szczególne przywileje i mogą pracować poza blokiem, a nawet poza zakładem. Są też bloki dla schorowanych więźniów, ale Henry stwierdził, że prędzej ktoś pierdyknie w kalendarz, niż zostanie przetransportowany do szpitala, ale przy serwowanym jedzeniu trudno jest się nie pochorować.

Poczułem szarpnięcie w przegubie. Odwróciłem się na spotkanie trzech osadzonych, z którymi do tej pory nie miałem kontaktu.

– Nowy, a ty coś dla nas masz? – Jeden z nich, łysy o kwadratowej szczęce, kiwnął na mnie brodą.

Zmrużyłem oczy i wyszarpałem ramię z jego uścisku.

– Nic nie mam.

Łysy zerknął na pozostałą dwójkę. Nim zdążyłbym się kąpać, złapali mnie za ręce i zaczęli obmacywać po kieszeniach.

– Kurwa, powiedziałem, że nic nie mam! – wrzasnąłem, wyszarpując się z uwięzi silnych rąk.

– Nie wymachuj mi łapami przed twarzą, bo może ci się stać krzywda – rzucił z wyrazem wyższości.

– Zostaw chłopaka – mruknął Henry.

– Sklej mordę, dziadu. – Wystawił ku niemu palec. – Chyba że to twój cwel?

Wykorzystałem jego nieuwagę. Zwinąłem palce w pięść, a sekundę później powaliłem go na ziemię ciosem podbródkowym. Gdy pozostała dwójka zaczęła napierać, Henry wziął się za jednego, a ja za drugiego. Pozostali więźniowie przyłączyli się do batalii, napieprzając w kogokolwiek czymkolwiek tylko się dało.

Krew. Ból. Krzyki klawiszów i grupy szybkiego reagowania.

Do tej pory pamiętam smak piachu, który osiadł mi na języku, gdy docisnęli mnie do ziemi.

Ale, kurwa, było warto.